Przyjaciel Ludu.

Rok piąty. No. 42. Leszno, dnia 20. Kwietnia 1839.



Góra Montblanc.

Najnowsza podróż na górę Montblanc.

W roku 1837. korzystając z pięknych dni sierpniowych, Szwed Hedzegen, oraz Anglicy Pidwell i Atkins, dostali się na górę Montblanc. Podróż ta, pomimo wszelkich niebezpieczeństw, udała się pomyślnie. Udzielamy tu w krótkości opis onéj, przez Atkinsa wydany.

Nie pomyślałem, mówi autor, o owéj podróży, gdym z Genewy do Chamouni przybył. Jednakowo skorom się na miejscu, czarującéj, że tak rzekę, górze, przypatrywać zaczął, tem silniéj chęć dostania się na nią, zajęła myśli moje, i już dnia następnego przedsięwziąłem przedrzeć się przynajmniéj do połowy góry, lub do miejsca zwanego Grands Mulets; rozmówiłem się nawet w tym względzie, z naczelnikiem przewodników. Wkrótce potém zaznajomiłem się z kapitanem artyleryi szwedzkiéj, Hedzegen, i ziomkiem moim Pidwellem, co umówili się wprzód do podróży na górę Montblanc. Zamysł mi ich się spodobał, i przedsięwziąłem im towarzyszyć. Łatwośmy się umówili i postarać się usiłowali o dziesięciu przewodników, co nie tak łatwo uskutecznić się dało, oraz zebranie potrzebnego odzienia i przedmiotów do tak przykréj podróży. Wieczorem zabawiliśmy się przechadzką ku kościołowi w Chamouni, dla przypatrzenia się pięknemu widokowi zachodzącego słońca po za górę Montblanc. Pidwell towarzyszył nam, z piękną swą małżonką, niewiedzącą ani słowa o naszem przedsięwzięciu, i gdy nieuważnie nadmieniłem słowo, mogące wykryć to, co przed nią tajono, dał mi znak szwedzki kapitan, tak, iż szczęśliwie mowę zwrócić potrafiłem. Pidwell, dopiero co trzy miesiące żonę był pojął, nader szczęśliwy, kochający żonę i nawzajem kochany, a przecież .....

Michał Balmat, wnuk owego Jakóba Balmat, co pierwszy 8. Sierpnia 1796. roku z doktorem Paccard dostał się z Chamouni na wierzchołek góry Montblanc, obrany został naczelnikiem naszéj wyprawy, za zezwoleniem innych przewodników. Prosił nas jednak o pozwolenie udania się do domu, dla zabawienia się reszty dnia z rodziną i urządzenia niejednego, na wszelki przypadek. Inni przewodnicy, to samo oświadczyli; nienadmienili wprawdzie ani słowa o niebezpieczeństwie wyprawy, mowa ich atoli stała się poważniejszą, ich rysy przybrały coś uroczystszego. Niezadługo potém zebrali się w koło, mówili coś z cicha do siebie i oddalili się w milczeniu ku mieszkaniom.

Cały wieczór przeszedł na umawianiu się, odradzaniu lub zachęcaniu ze strony mych ziomków, w Chamouni zebranych. Młodzież, mianowicie młode damy, odradzały mi podróż. Stateczniejsze damy utwierdzały mnie w przedsięwzięciu. Skorom opis podróży hrabiego Tilli przeczytał, wyciągi niektóre wypisał i położeniem góry do-

skonale się przejął, utwierdziłem zamysł i byłem gotów oddać się zupełnie przewodnikom moim, jako ludziom odważnym, przezornym i pełnym przytomności umysłu. Wszelkie przygotowania wieczorem ukończono; o dziewiątéj udałem się do sypialni, dla namyślenia się raz jeszcze nad wszelkiemi niebezpieczeństwami, oraz dla przespania się nieco, czego jednak uskutecznić nie zdołałem. Po nocy bezsennéj, o czwartéj stanąłem na nogach. Przepyszny odkrył się poranek. Powoli ludzie schodzić się zaczęli, przewodnicy pozawieszali tłómoczki; naczelnik guidów ukazał się wtedy, celem umieszczenia nazwisk naszych i opisów w rejestr zwyczajny, dla wiadomości, w razie, gdyby kto z nas niepowrócił. Ów człowiek mocno się zdziwił, skorom mu wyznał, że nie mam lat jeszcze dziewiętnastu skończonych, żem ani na wieżę wysoką, ani na lodowate góry, nigdy nie wstępował. Po śniadaniu, około siódméj zrana, ruszyliśmy naprzód, wpośród okrzyków i życzeń widzów, cisnących się dla pożegnania nas; wprawdzie było ich wielu, co przed płaczem mówić nie byli w stanie. Dzieci i krewni bliscy przewodników, co z niebezpieczeństwem życia prowadzić nas na górę mieli.

Następującym szliśmy porządkiem: Sześciu tragarzy z tłómoczkami naszemi otwierali pochód, mieli jednakowo towarzyszyć nam część tylko drogi, dla ulżenia przewodnikom i wrócić potém do Chamouni. Później następowało sześciu przewodników, Hedzegen, Pidwell i ja; za nami czterech przewodników i pięciu lub czterech włościan z okolicy, co z ochoty z nami się złączyli. Tak postępowaliśmy, w jednym szeregu, uzbrojeni w długie żelazem okute kije, aż do miejsca, spoczynkiem pielgrzyma zwanego, i przez zarośle, tego samego nazwiska. Tu strumień, z góry spadający, ciągnąc z sobą kamienie i gruzy, zniszczył w bliskości wszelką roślinność. Po upływie pół godziny, piąć się pod górę przez dwie godziny zaczęliśmy; przeszliśmy koło kilku opuszczonych chat, gdzie pasterze zwykli się chronić przed napadającą ich burzą. Tu zaczyna się ciasna ścieszka, służąca tylko kozom, tuż po nad straszliwą i głęboką przepaścią, a na przeciw niéj poziomo stercząca chata. Tu pierwszą próbę odbyłem. Bogu dzięki, że zatrzymałem przytomność umysłu, i że nawet bez zawrotu głowy spoglądać zdołałem w otchłań, obok mnie otwierającą się. Niezadługo, przebyć nam wypadło straszliwy strumień, Mimont zwany. Dla dostania się przez niego, skoczyć nam wypadało na ostro zakończony głaz, z pośród strumienia wystający. Głęboko pod nami pieniły się i szumiały nurty strumienia. Kamienie czyniły przejście to nader niebezpiecznem; silnie oparłem się na kiju, i dostałem się bez bojaźni i szwanku na przeciwną stronę. Kilka stromych skał przebyć nam wypadło, nim koło jedenastéj, u miejsca, zwanego Pierre de l'Echelle, stanęliśmy. Tu spoczęliśmy godzinę i śniadanie spożyli. Skała ta dwadzieścia stóp wysoka, i czterdzieści szeroka, znajduje się tuż pod stroną góry Montblanc, Aiquille du Midi zwaną. Ztąd widok otwierał się już dość obszerny; w odległości łańcuch gór Jura, wielka część Sabaudyi, a u stóp część doliny Chamouni. Roślinność w tém tu miejscu nader urozmaicona. Piękny Rododendron rośnie tu w obfitości, równie jak inne rośliny nazywające się w dialekcye krajowym bellosy, albo mirtille, lub téż czarne jagody, nader przyjemne i chłodzące.

Po lewéj stronie szumiały strumienie, z lodów Blessonu (Glaciers du Blesson) wychodzące. Kawał granitu, przez nas zepchnięty, spadł grzmiąc na dół, oddając po sobie odgłos odbijający się o skały i wierzchołki nas otaczające. Podczas krótkiego spoczynku, skreśliłem szybko nasze grono, nieopuszczając nawet pieska Michała Balmat, co z nami podróż odbywał i pierwszym był psem, co dostał się na wierzchołek góry Montblanc. Ślicznie było patrzeć, jak się ów małe zwierzę z lekkością dzikiéj kozy na najspadzistsze skały wdrapywało. Po upływie pół godziny, dostaliśmy się do pierwszéj grożącéj nam otchłani lodów Blessonu. Wązka lodowata i kryształowa dolina ciągnie się przez ćwierć mili, przerzynana strasznemi szczelinami i otchłaniami, często do czterechset stóp głębokiemi. Tak nazwane morze lodowate w okolicy Chamouni, albo lody montentwertskie, niczem są w porównaniu lodów Blessonu; wszystko tu olbrzymie i wielkie, nawet i niebezpieczeństwo; dla tego pożegnali się z nami tutaj sześciu tragarzy i nie bez wzruszenia. Przykra to była chwila. Głos owych silnych, odważnych i z wszelkiemi niebezpieczeństwami obeznanych ludzi, okazał rozrzewnienie; wstrząsnęli nas za ręce, znaczącym wyrazem i krótkiemi słowy pożegnali, poczem zniknęli po za bryłami granitowemi Moreny. Od téj chwili szedłem między Dawidem Folliquet i Michałem Balmat. Pierwszy ścisnął mnie téż za rękę i rzekł z uczuciem: „Teraz mój młody panie nie znajdziesz bezpieczeństwa, jak w zupełnéj ufności we mnie.“ Odpowiedziałem, iż nigdy dotąd na lodowatą górę nie wstąpiłem i że całą ufność w nim pokładam. Poczem dodał, ściskamy nasze ręce na znak przyjaźni, i umilkł; stają się bowiem przewodnicy małomownymi, skoro niebezpieczeństwo zagraża, celem zebrania całéj uwagi.

Książkę napełnićby można opisem wielkości i zachwycających piękności lodów Blessonu, i mocniéjby ich widok zastanawiał, gdyby się nań spokojnie przypatrywać można. Niepodobno się jednak zastanawiać, spieszyć się bowiem trzeba, około brylantowych obelisków, świątyń i ścian, świecących się grót, obok dziwnie najeżonych lodowatych brył, piętrzących się jedne na drugie i jednym podparte filarem, obok gustownie wyrzynanych lodowatych płaskorzeźb, obok lodowatych olbrzymów i undynów, obok szumią-

cych w głębokości strumieni, dla uczynienia śmiałego skoku przez szeroko i otwartą otchłań, lub dla stawiania dokładnego nóg na stopnie, wycięte w lodowatéj ścianie przez poprzedzającego przewodnika, lub dla przekroczenia spiesznego przez podejrzane miejsce śnieżyste, które w kilka chwil poźniéj niebyłoby w stanie unieść człowieka i załamałoby się pod jego ciężarem. Gdyby kto chciał namyślać się przed przebyciem głębokiéj otchłani, nie odważyłby się nie raz na to, co się bez namysłu udaje. Wszystko uskutecznione być musi, bez wahania się i szybko, z natężeniem sił umysłowych i ciała, nie dając czasu przystąpieniu niespokojności i zawrotowi głowy. Najochotniéj na samym ostatku postępowałem. Miało to swoje dogodności, lecz także i nieprzyjemną stronę. Mogłem wprawdzie wygodniéj kroczyć, ścieszką wydeptaną przez drugich; mogłem uczyć się od poprzedzających mnie; ani w skokach i pięciu się pod górę nikt mnie nie naglił, przecież cienkie mosty śniegowe, osłabiały się pod ciężarem tylu ludzi i ledwo mnie unieść zdołały. Pidwell i Hedzegen łatwiéj naprzód postępować mogli, z względu, iż w Norwegii przyuczyli się przebywać góry. Pomimo tego, pośliznął się pierwszy, przeskakując otchłań lodowatą, i bliskim był wpadnięcia w przepaść, gdyby przytomność umysłu nie podała mu środka, wbicia kija w lód, co go tak długo przytrzymało, póki mu na pomoc nie przybyli. I ja w podobnym byłem przypadku. Wypadało przekroczyć otchłań, któréj przeciwległy brzeg wyższym był nieco. Przewodnicy wycięli małe wydrążenie w lodzie, gdzie kładąc nogę, zapęd dać sobie mogliśmy. Udało się to moim poprzednikom; pod ich nogami jednak, śnieg zmiękł cokolwiek, i gdy skoczyć chciałem, usunął się z pod nóg moich. Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakiegom doznał, będąc bliskim wpadnienia w dwieście stóp głęboką otchłań, najeżoną stu ostremi lodowatemi zębami, gdziebym się był okropnie rozbił, bez zakończenia życia; już rozumiałem, że ostatnia godzina wybiła, gdy Folliquet spiesznie postronek mi około ciała zarzucił, szybko na moją stronę przeskoczył, za kołnierz porwał, i silnym rzutem na drugę stronę otchłani przeniósł. Odtąd przyczepiono mnie sznurem, i już nie puszczałem ręki poprzedzającego mnie przewodnika. Wypadało nam częstokroć wpuszczać się po małéj drabinie w obszerne lodowate sklepienia, gdzie niezmierne bryły lodu ostro zakończone, nakształt miecza Damoklesa, nad naszemi wznosiły się głowami, i co chwila na nie upaść zagrażały; zapominaliśmy jednak o niebezpieczeństwach na widok tak przepyszny; słońce bowiem, wciskając się nieznacznym otworem, rozmaite barwy nadawało komnatom, ich sklepieniom, ostrosłupom i gankom. Niekiedy postępowaliśmy ścieszkami, kędy duchy lodowe i wróżki odwiedzać się zwykły. Po obu stronach niezmierzone sklepienia, w których tajemnicze głębie nikt dotąd dostać się nie potrafił, mamiące widoki, wesołe pałace, z kryształu zbudowane, w najrozmaitszych i najozdobniejszych porządkach architektonicznych, niewyobrażanych sobie przez starożytnych. W lustrach owych pałaców kryształowych jawiły się w odległéj nieskończonéj głębokości komnaty z przezroczystemi słupami, ganki sklepione, dziwnie wijące się, ozdobione płaskorzeźbami i arabeskami, gdzie niegdzie jaśniejące od wciskającego się przypadkiem promienia słonecznego, przybierając to barwę białości diamentu, to jasnozieloną i jasno-błękitną, zmieniając się wreszcie w wszelkie kolory tęczy. Tu przymuszony zostałem założyć okulary ciemne i zawiesić zasłonę zieloną, gdyż ciągły blask, odbijający o lody i śniegi, nieznośnie moim oczom dokuczać zaczął.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

222. Medal z gabinetu E. hr. Raczyńskiego.

Niewiasta siedząca, w prawéj ręce trzymająca 4 strzały, w lewéj róg Amaltei; blisko niéj Turczyn klęczący, z rękami w tył związanemi; na ziemi broń rozrzucona. Po stronach, krużganki słupami ozdobione, na których herby cesarza, króla polskiego, cara moskiewskiego i Rzeczpltéj weneckiéj; napis: CONCORD (ia CHRISTIAN (orum); t. j.: Zgoda Chrześcian. (Pierwsze litery drugiego słowa wyrażone są spojeniem dwóch liter greckich X. P.)

Strona odwrotna zawiera tylko napis: LEOPOLDI MAGNI ROMA (ani) IMPERATORIS, JOAN(nis) III. POLON (iae) REGIS ET REIPUBLICAE VENETAE CONCORDIBUS ARMIS ADVERSUS TURCAS EXERCITUS MOSCOVITARUM STABILI FOEDERE JUNGITUR M.D.CLXXXVII; t. j.: Do spojonych zgodnie wojsk Leopolda W., rzymskiego cesarza, Jana III. króla polskiego i Rzeczpospolitéj weneckiéj przeciw Turkom, wojsko moskiewskie stałym połączyło się związkiem r. 1687.

Na dole litery J. G. L., zapewne początkowe nazwiska mincarza.

Medal 223.

Popiersie Jana III. w laurze. Napis: JOH (annes) III. REX POL (oniae); t. j.: Jan trzeci król Polski.

Strona odwrotna: Dwa pioruny, wymierzone na męszczyznę na ziemi siedzącego, który ma ręce w tył związane. Napis: TERRET ET TERRIT, t. j. przestrasza i kruszy.

Wykład.

Nie podlega wątpliwości, że medale te nie w jednym roku bite były, lecz w miarę tego, jak zawiązana przeciw Turkom koalicya wzmagała się przez przystępujące do niéj mocarstwa.

Pierwszym tego związku początkiem było w roku 1683 Austryi z Polską połączenie, do



222. 223. *Medale z gabinetu E. hr. Raczyńskiego.*

którego Rzplta wenecka w kilka miesięcy późniéj przystąpiła.

Pierwszy więc sprawcą związku był Jan III., który przeważne miał powody do wznowienia wojny z Turcyą. Traktat żurawiński zastrzegł był Polsce zwrót dwóch trzecich części Ukrainy i Podola, odstąpionych traktatem buczackim. Tymczasem, gdy do rozgraniczenia przyszło; kommissarze tureccy w Ukrainie Pawołow tylko i Białocerkiew Polakom powrócić chcieli, zachowując resztę prowincyi dla Kozaków; na Podolu zaś granice swoje, wbrew warunkom traktatu, jeszcze daléj, niż były dotąd, rozszerzyć pragnęli.

Wysłany do Porty w poselstwie Gniński, wojewoda chełmiński, niezdołał załatwić tych trudności, stany więc koronne upoważniły Jana III. do rozpoczęcia na nowo wojny, gdyby tego nieuchronną widział potrzebę. Uchwała ta sejmu oddaną została królowi, pod zaprzysiężonym obowiązkiem sekretu, co wówczas Scriptum ad Archivum zwano.

Spodziewał się wtenczas Jan III., że do związku przeciw Turcyi wciągnie i Moskwę, lecz gdy ta w roku 1681 przymierze z Portą na lat 20 zawarła, spóźniło się zawarcie ligi chrześciańskiéj aż do roku 1683, w którym, jak się wyżéj rzekło, podpisaném zostało przymierze między Polską a Austryą, za pośrednictwem Pap. Innocentego XI.

Niewiadomo, co ma znaczyć na medalu pod liczbą 220 *) herb Moskwy, która dwoma laty późniéj (1686) do związku przeciw Porcie przystąpiła. Zdaje się, iż autor medalu, uwiedziony rozsianą w publiczności pogłoską, przyłączył zawcześnie Moskwę do innych mocarstw, przeciw Turkom połączonych.

Tenże medal wyraża cele, do których, podług zdania autora, sprzymierzonym przeciw Turcyi mocarstwom, dążyć należało. Cesarz oswobodzić miał Węgry i zdobyć wyrażone na medalu miasto Budę. Zwrócenie Podola Polsce, wskazuje Kamieniec. Wenetowie mieli odebrać wyspę Kretę, czyli Kandyą; wszystkie zaś połączone mocarstwa dążyć miały do tego, aby Carogród opanować.

*) Zob. P. L. N. 40. str. 317.

Zbiór starożytności sławiańskich w Berlinie.

Artykuł, umieszczony w 20. Nrze Tygodnika poznańskiego, pierwszy wspomniał o zbiorze starożytności sławiańskich w Berlinie. Nie sama ciekawość powodowała mnie, do zwiedzenia pałacu Monbijou, w którym jest tak zwane muzeum ojczyste, ale zarazem czułem w sobie niejaką cześć ku tym najdawniejszym, a jedynym pomnikom po pradziadach tylu pobratymczych narodów. Mimo biegu długich wieków, zmiany imion, języków i wiary, nie zdołamy oziębłem spojrzeć okiem na te urny grobowe, z głębi żalek wydobyte, z których oraz ulatniają się popioły mężnych zdobywców lub obrońców naszéj ziemi. Spieszyłem więc z jakiémsiś dziwném i nieoswojoném uczuciem w progi owego muzeum, żeby uczcić pamiątki pokrewnionéj przeszłości. Pierwsze atoli uczucie, które mnie ogarnęło z wejściem do téj świątyni, było bolesne. Jakżeż to mało tych pamiątek wieków ubiegłych! a gdy jeszcze przyszło mi odłączać starożytności genueńskie, pod wpływem rzymskiéj sztuki powstałe, i piękniejsze oryentalne zasoby, na szlakach handlowych poznajdowane: jakżeż to ubogi wówczas, pozostał ten zbiór sławiańskich pamiątek! Kilkadziesiąt kruchych glinianych naczyń, jedynym tu są śladem przedawnych dziejów narodu, który od Adryatyku aż po za morze Białe się rozległ. Żaden to jeszcze z bożków potopionych od

Mieczysława, nie opuścił Goplannéj toni, dla tego nowego mieszkania; ani tam puklerza bojowego pogańskich wojewodów nieujrzysz; ledwo że kilka dzid i siekier kamiennych, świadczy jeszcze o wiekach naszych bojujących przodków.

W tak ubogim zbiorze, wynagrodzić wypada niedostatek, znamienitą pieczą szczególnych przedmiotów: Zwróciłem przeto moją uwagę na przedmioty, z księstwa poznańskiego pochodzące. Służył mi za przewodnika w tém poszukiwaniu opis muzeum, wydany przez jego dyrektora, kapitana Ledebura. *a*) Z w. x. poznańskiego bardzo mało jest starożytności; najciekawsze zaś są owe, które w roku 1674 między Lesznem a Szmiglem wykopane, a w roku 1679. opisane zostały w dziele Jakóba Mellen pod tytułem: „Historia Sepulcratis Sarmatiae (Jenae 1679, 4.)“ które oraz i ryciny ich umieściło.

Należały te starożytności do uczonego Olearyusza. W roku 1798 zaś przewieziono je do Berlina *b*) Pomijam opis tych urn, w nadziei, że Redakcya Przyj. Ludu późniéj ich rycinę umieści. Niektóre z tych pomienionych urn zawierały ludzkie kości, inne zaś zęby końskie. P. Lichtenstein, professor uniwersytetu berlińskiego, twierdzi, że są po koniach bardzo niskiéj rasy, n. p.: jakie dotąd wychowują na wyspach szotlandzkich. W kilku urnach były też bronzowe śpilki, na pół stopy długie.

Pokazywano mi także szczególną bronzową czarkę, a raczéj miseczkę, bardzo cienką, którą rybak Hoffman przed czterema laty niedaleko Owińska wykopał: oświadczył przytem, że ją znalazł w żalce, w któréj nie było żadnych urn, lecz w środku miał leżeć niespalony kościotrup, a na czterech rogach były ślady ognia i węgle. Rybak ten mieszka w Premnicach.

Otóż na tem się kończą zabytki berlińskie starożytności sławiańskich, w księstwie wykopanych, a w muzeum złożonych. Jednak w téjżeto samėj ziemi, dawniéj tyle urn wykopowywano, że przesądny Długosz poważnie zaświadczał, jako na polach nochowskich, pod Szremem, i pod wsią Kozielskiem, w Pałukach, garnki w ziemi same się rodzą, i rozmaite kształty przybierają *c*)

a) Das königliche Museum vaterländischer Alterthümer im Schlosse Monbijou zu Berlin, beschrieben von Leopold v. Ledebur. Berlin 1838.

b) Reichsanzeiger 1798. Nr. 53.

c) Dług. lib. I. p. 45. Duabus rebus regio polonorum prodigiosa et miranda est. Una quod in Caupis villae Nochow prope oppidum Szrem in Posnaniensi dioecesi sitae, item in villa Kozielsko in districtu Pałuki, prope oppidum Lekno universi generis sponte et sola arte naturae absque omni humano adminiculo, variarum formarum et iis similes, quae humanus convictus habet in usu, sub terra nascuntur ollae:. tenerae quidem et molles, dum consistunt in nativo nido sub gleba; sed dum fuerint extractae, et vento vel solo duratae, satis firmae, diversis formis et quantitatibus compositae, non secus quam artificio figuli effigiatae etc.



Starożytności sławiańskie.

Dotąd jeszcze w każdéj niemal wsi, mnogie wskazują żalki, porozrzucane po polach: są to pagórki z polowych kamieni. Nie wszystkie jednak żalki są grobami sławiańskiemi, wiele z nich zapewnie powstało pracą przemyślnych rólników, którzy chcąc oczyszczać pole swe z kamieni, w wybrane na to miejsca oddawna je znosili: w tych to żalkach wykopują często urny, od ludu *płaczkami* zwane, w których się czasem znajdują popioły. Lud błędnie je za groby aryańskie poczytuje, i dla tego lekce waży ich prochy. Nadarza się nieraz, że i w lesie, rudując najstarsze drzewa, wykopie się pod ich korzeniami takowe urny: co dowodzi, że nie zawsze Sławianie grobowiec kamieniami przykrywali. Słyszałem, że dotąd jest u naszego ludu zwyczaj, pochodzący zapewne z najdawniejszych czasów. Gdy jaki człowiek obcy zabitym został gdzie nad drogą lub w lesie, a pochowają go na miejscu popełnionéj zbrodni, naówczas każdy przechodzień rzuca kamień czy też gałąź na grób jego: co przez to powoli się w mały przemienia pagórek. Pobożny obrządek rzucania garści piasku na trumnę spuszczoną do grobu, może jest dawniejszém

ustanowieniem, może też zastósowaniem chrześciańskiéj pobożności do zwyczajów dawnych Sławian i Germanów. Zwrócić więc wypada uwagę pieczołowitych właścicieli, aby bacznie strzegli przechowywania takich zabytków często jeszcze wykopywanych: a uczonych badaczów starożytności skłaniać należy, aby ciekawsze punkta W. Polski pilniéj zwiedzać raczyli: niechby za przykład służyły owe tak mało znane kopce pod Konojadem, w pow. kościańskim, z których jeden na naprawę drogi rozkopano i znaleziono w nim kościotrup ludzki i koński, oraz miecz starożytny i podobno nieco rynsztunku. Lecz lepiéj, aby te starożytne pamiątki cicho spoczywały w swych grobach, niżby je miano wydobyć, aby gdzieś tam zaginęły w poniewierce. Dawniéj to Towarzystwo przyjaciół nauk zajmowało się zbieraniem tych starożytności sławiańskich, które miał podobno P. Krysztof Wiesiołowski pod swoim dozorem. Już w roku 1812. na posiedzeniu 2. Stycznia czytał on rozprawę o starożytnościach religijnych Sławian, wspominając przy téj sposobności i o trzech grobach sławiańskich, odkrytych w Gruszewie, dobrach W. Wielogłowskiego, w powiecie proszowskim. Pomiędzy stósami kamieni połowych, znaleziono w jednym grobie wiele kości ludzkich i kilka szarych, glinianych urn; w drugich same kości ludzkie, w trzecim kości końskie i ludzkie, wraz z siekierą kamienną porfyrową, zielonawą. Ponieważ exemplarze roczników towarzystwa niełatwe są do nabycia, przeto załączam rysunek rzeczy wymienionych, które czytelnicy porównać raczą z urnami, o których odkryciu przed kilku laty Redakcya dziennika sprawę zdała publiczności. — Były zapewnie i w Puławach takie zabytki. Zdaje się, że i Chodakowski byłby może jedno w tym względzie wyświecił, atoli z drobnych jego pozostałości rozstrzygnąć nie można, czy go większa, prawdziwsza myśl; czyli też, jakieś indywidualne uwidzenie, w namiętnych a tak mało skutecznych, wiodło poszukiwaniach.

Widują w W. Polsce w wielu domach takowe starożytności, a szczególniéj urny różnego rozmiaru; życzyćby wypadało, aby ich właściciele raczyli starannie zapisywać okoliczności znalezienia, a szczególniéj miejsce; oraz układ kamieni na około, ślady ognia, rodzaj kości zawartych, i t. p., aby ułatwić poszukiwania badaczom starożytności ojczystych. Wszakże i w berlińskiém muzeum znaczna część przedmiotów bezużyteczną jest dla antykwarza, gdyż nie można było znaleść śladu ich pochodzenia, t. j. kiedy i gdzie pojedyncze przedmioty wykopanemi zostały. Tak dokładnie opisana urna staje się szacownym historycznym pomnikiem, w przeciwnym zaś razie zaniedbania zamienia się w sprzęt nieużyteczny. *d)*

d) Dla badaczy ciekawego, a dotąd nierozstrzygnionego pytania, w czem się różnią groby sławiańskie od germańskich, wspomnieć wypada: rozprawę professora Danneil w dziele: »Förstemann's neueste Mittheilungen aus dem Gebiete historisch-antiquarischer Forschungen. Halle 1836. 2. tom. 3. poszyt, str. 550 — 584: przytem i Lisch (archiwarz w. x. meklenburgskiego): »Andeutungen über die alt-germanischen und slawischen Grabalterthümer Meklenburgs und der norddeutschen Grabalterthümer aus der vorchristlichen Zeit überhaupt. Schwerin 1837.«

P. S. Mówiąc o muzeum berlińskiém, wspomnieć nam jeszcze należy granitowe kule, pozbierane przy rozbieraniu wieży w Żninie w r. 1830. Było ich 124 sztuk; ważą po 4, 6, 11 funtów, a rozmiarem odpowiadają 12, 16, 24ro funtowym żelaznym kulom. Zwano je w średnich wiekach kamieniami działowemi (Büchsensteine) i używano ich przy obleganiu fortec. Wszakże i Turcy, podobno dotąd jeszcze, w fortecach dardanelskich mają działa zastósowane do ogromnych kamiennych kul, które zwykli rozgrzewać przed wystrzałem. Opisał te kule major Blesson w dzienniku następującym: *v. Ledebur, allgemeines Archiv.* w poszycie XII. na str. 175—180.

Dobosz.

(Ciąg dalszy.)

Ruszczyc w gęstwinie ujrzawszy kilku ludzi, zwrócił na nich całą uwagę, a przecież, gdyby był spojrzał w ogród, poznałby Dobosza, jak z gromadą swoją, z cicha się skrada, trzymając w ręku gorejącą głownię. I przystąpił blisko dworu, podsadzili go na barkach; silną ręką zerwał kilka gontów, rozdmuchał głownię i rzucił na nię pęk słomy. W mgnieniu oka suche smolne gonty zajął silny płomień, a Ruszczyc jeszcze wzrok trzymał na dostrzeżonych opryszkach w zaroślach. Nagle dym poczuł, obraca się i widzi większą połowę dachu w płomieniach; zbiega na dół, a krzycząc z gardła: gore! gore! wpadł do izby pachołków, a potém z nimi do komnaty pani Rawicz. Wystraszona niewiasta, porwała córkę z kołyski, Ruszczyc obu synów, i wśród walących się belek, wybiegli szczęśliwie do sieni. Roztwarto drzwi główne: jakiż widok nowy! stoi Dobosz z drużyną swoją. Struchleli pachołcy; zbladł pierwszy raz w życiu z przestrachu Ruszczyc, a biedna matka, tuląc do siebie dzieci, upadła na kolana i wyciągnęła do zbójcy białe dłonie, prosząc o litość.

Pożar niszczył gwałtownie drogie obicia, makaty i bogate sprzęty, a klęcząca niewiasta zapomniała o wszystkiém, zasłaniając własném ciałem drobne dziatki. — Widziała śmierć pewną, a mniemała, że kula choć ją zabije, nie urazi dziatwy! Wtém świstanie kilkakrotne usłyszano, naprzód zdala, potém coraz bliżéj. Na to hasło opryszki zaczynają się cofać do lasu, a Dobosz ostatni, ze sztuccem dwu rurnym, gwintowanym, stanąwszy na krańcu boru, patrzył jak ogień,

który rozniecił, dwór wspaniały zamieniał w rozwaliny i gruzy.

Bez tchu, wybladły, z iskrzącemi oczyma, z pałaszem w ręku, strzelbą na ramieniu, wbiega Rawicz na dziedziniec, za nim pięćdziesięciu towarzyszów, czeladź zbrojna i domownicy. Pan dworu w płomieniach, nie biegł gasić pożar, ale ze łzami ściskał żonę i drobną dziatwę. Jeszcze ta godzina nie nadeszła, w której wczora marzył o zwycięztwie i pochwyceniu Dobosza, a już nie miał gdzie marzyć, nie miał swego poddasza; bo mściwe opryszki i całe gumna spalili. Przy płomieniu swego mienia, Rawicz dziękując Bogu za ocalenie żony i dzieci, smutnie powtarzał, pokręcając w zamyśleniu wąsa: „*Homo proponit, Deus disponit.*"

Dobosz tymczasem ze swymi przychodzi do wystraszonego popa, a dotrzymując obietnicy, zajadał smaczno mamałygę i kukurydzę, popijając okowitę, i przepraszał zarazem gospodarza domu, że się spóźnił o dwie jeno godziny.

Ciemny bór otaczał w koło; na mchu skalistym spoczywała drużyna Dobosza przy nanieconych ogniskach: w małych kociołkach gotowali kukurydzę, a na drewnianych rożnach piekli baraninę.

Zdala siedział zamyślony Dobosz. Kapelusz zdjął z głowy; świecił złotem i błyszczał, odbijając promienie zachodzącego słońca, bo sznur długi nawleczonych dukatów okręcał go cztery razy w około. Dziobenka, u prostego opryszka świecąca mosiężnemi guzikami, u niego świeciła równie złotem. Dwie pary pistoletów tureckich, bogato nabijane srebrem, i nóż potężny, wyglądały z za szerokiego pasa. Sztuciec dwururny leżał obok. Był zmęczony; rozpiął kołnierz od koszuli i pokazał piersi szerokie, wyniosłe i obrosłe kudłami niedźwiedzia. Przeciągnął się kilka razy, jakby chciał nową giętkość nadać ciału; poziewnął i ukazał zęby białe, jak kły dzika.

Powodzenia pierwiastkowe rozzuchwaliły śmiałka; mniemał, chociaż już raz odebrał naukę od Rawicza, że jeszcze lepsze zdobędzie łupy w przemożnym domu Potockich, gdzie napad przedsięwziął. Rzuciwszy się niedbale na mech miękki, marzył o złocie i bogactwach, które zdobędzie. Kwarta starego miodu i kilka szklanek wódki, zdobycz piwnicy jakiegoś szlachcica, rozweseliły opryszka. Wstał, przeciągnął się raz jeszcze, a patrząc na zachodzące z za góry słońce, dał znak do modlitwy. Był to dzień sobotni, w którym zawsze jeden głośno odczytywał Ewanjelią po rusku, po niéj modlitwę, a tę cała banda odmawiała, zdjąwszy kapelusze. Uszykowali się w wieniec; Dobosz stanął w środku, a przy nim opryszek, umiejący czytać; wszyscy się pobożnie przeżegnali i powtarzali słowa modlitwy. Amen — wyrzekł czytający; Amen, odbiły lasy, i zabrzękła broń zbójecka, bo zaraz cichym pochodem zeszli na doliny.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Autograf, wyjęty z księgozbioru w Dubiecku.

*) Marya Kazimira, krolowa polska, wielka xięzna litewska, ruska, pruska, mazowiecka, zmudzka, kiiowska, wołhynska, podolska, podlaska, inflantska, smolenska, siewierska, czerniechowska.

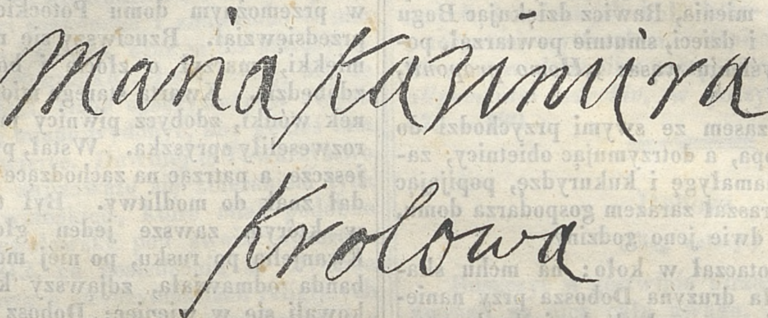
Wielmozny uprzyjmie nam miły! Płynie we łzach macierzynskich, zatopione serce nasze do uprzyimości Waszéy, mieczem boleści przerażone na tak Załosną, opłakaną, nigdy nie spodzianą nowinę, o zabraniu do więzienia naymilszych synów naszych nayiaśnieyszych krolewiczów polskich Jakuba y Konstantina. Mozesz bydź zelżijwsza, sromotniejsza na dom królewski, y na cały naród polski nad tę akcya? Na dobrowolney drodze, w panstwie cudzym, niewinnych y za granice oddalonych, aby temu, ktory się dawno na nich zawziął, na oczach nie byli, iako iedne nayliszsze osoby, łapac, imac, zabierac, y do więzienia uwozic. Zadumiały na taką krzywdę, obelgę, zniewagę cały Rzym, począwszy od naywyzszéy głowy oyca swiętego uboliwa y upłakiwa, politowanie nieprzestanne nad nami oświadczaiąc.

Podobney a raczey większey ze doznamy od Rzpltéj polskiéj, w takowym razie kompassiey, bynamniey nie wątpiemy, do ktorey z niewymownym naszym zalem, iuześmy się odezwali, iako do matki naszey, która nas y tychże synow naymilszych naszych wychowała, wypiastowała, honorami, fortunami ozdobiła. Teyto Rzepltey, gdy uprzyimość Wasza osobliwym iestes filarem, na Iego łono i serce, tę tak cięszką krzywdę składamy, podnosząc ręce z nayia-

*) Pisownia ściśle zachowana.

śnieyszym ich z trunny oycem, o należyty resentiment nad ponizoną, zdeptaną, zelzoną, teraz w iego potomkach nayblizszą krwią swoią. O Boze, na co przysli tak wielkiego oyca y na cały swiat chrześciański zasłuzonego monarchy synowie? Więcey nie słowy, ale krwawemi łzami tę oblewaiąc kartę miłosci, zyzliwosci, zarliwosci, uprzyimosci waszey honor nasz y domu krolewskiego, a oraz y całego narodu polskiego, iako najusilniey poruczaiąc, zdrowia dobrego y pomyslnych sukcessow uprzyimosci waszey od Pana Boga zyczemy.

Dan w Rzymie dnia XXV Marca Roku M.D.CCIV.



Wielmoznemu Woiewodzie mazowieckiemu, uprzeymie nam miłemu.

Do śpiewającéj Z.

Smętnie o twym nucisz losie,
Słyszę, jak łza drży w twym głosie,
Łzawym niebo skarzysz tonem.
Śpiewasz serca twego kłótnię:
Śpiewasz dźwięcznie, dumasz smutnie
O twém życiu rozstrojonem.

Lecz te głosy różnorodne,
W ten czas tylko, gdy są zgodne,
Gdy się w jedno zleją brzmienie,
Gdy trafiają w swoje chwile,
Gdy w stosownéj zabrzmią sile,
W ten czas tylko tworzą pienia.

Przeléj, przeléj, w serce młode,
Równie dźwięczną uczuć zgodę,
Zbytnie serca zniżaj bicia.
Podnieś piękne duszy brzmienia,
Wzmocnij ogień, żar natchnienia,
I utwarzaj z nich pieśń życia.

Chcesz, by piękny dźwięk wydało,
Chcesz, by szumnie nie wybrzmiało
W płonnym i przykrym hałasie;
Umieszczaj trafnie, surowo,
Wszystkie czyny, każde słowo,
W swojém miejscu, w swoim czasie.

Żaden kwiat się nie rozwinie,
Żadne szczęście nie wypłynie
Z bujnych, dzikich uczuć wzbicia.
Z pięknéj tylko miary, zgody,
Płynie błogość, dźwięk swobody,
Piękność śpiewu, piękność życia!

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie.